

TOMASZ COBB.

# Tajemnicza zbrodnia

z angielskiego przełożył W. L.

3

Ciąg dalszy.

— Czy pan stąd pochodzi?

— Nie, panie! Dwa lata służyłem w Londynie u pana pułkownika Hospinsa, Bergstreet, Mayfair. Miesiąc temu musiałem służbę porzucić, aby podreperować swe zdrowie. Prawdę powiedziawszy, chciałbym pozostać w tej zdrowej okolicy.

— Ja nie potrzebuję dla siebie usługi — odparł Owen — szukam ogrodnika, któryby starał się o ogród i pomagał przytem mej służbie.

— Zamiłowanie do ogrodnictwa jest moją drugą naturą — urodziłem się i wzrosłem na wsi.

— Czy zgodzi się pan spać w stajni? — Koń nie trzymam, mężczyźni nie pozwalają jednak spać w domu.

— Ojciec mój był przy koniach — gdyby mi pan pozostawił do wyboru, wolałbym spać w stajni, wtedy zdaje mi się, że jestem w domu.

Po krótkiej naradzie co do wynagrodzenia, przyczem Bodger postawił nader skromne warunki, zapytał Owen:

— Świadcstwa ma pan pewnie przy sobie?

— Pułkownik Hoskins wyjechał za granicę — odparł Bodger, przygotowany na podobne zapytanie — polecił wydać świadectwa swemu zarządcy, jeśli zatem zechce pan popytać się o mnie, dowie się pan jak najlepszych rzeczy.

Owen wziął papier i ołówkę.

— Nazwisko pańskie?

— Wilhelm Sandes.

— Nazwisko i mieszkanie zarządcy?

— Pan Bodger — Józef Bodger mieszka Seymour-Street.

— Zwrócę się zatem do pana Bodgera — zakończył Owen rozmowę. Jeśli sprawa zostanie tam załatwiona po mojej myśli, możesz pan zgłosić się do mnie w przyszły poniedziałek. Gdzie mam pisać po pana?

— Niech pan adresuje do pana Jonesa, fryzjera i golarza, ulica Zachodnia nr. 3. O świadectwa jestem najzupełniej spokojny. Nikt nie może nic na mnie powiedzieć.

— Zawiadomę zatem pana, a w przyszły poniedziałek niech się pan zgłosi.

Bodger skłonił się pokornie przyszedłemu chlebobodawcy i powrócił najbliższym pociągiem do Londynu.

## ROZDZIAŁ VI.

### Doktor Viret.

Karyera doktora Viret zaczęła się zaraz w początku wspaniale. Już jako młody lekarz uchodził za jednego z najzdolniejszych chirurgów; mając lat 40 poślubił dziewczę młodsze od niego o lat 20 z górą, a kiedy miał lat 50, cieszył się ogólnym zaufaniem i powszechnym szacunkiem. Na wyżynie szczęścia stał właśnie, gdy fortuna odwróciła się od niego niespodziewanie, żona jego zachorowała nagle. Za radą lekarzy miała Anglię przed nadejściem zimy opuścić i udać się na Maderę. Początkowo nie mogła przyzwyczaić się do doktorowa Viret do myśli, że rozstanie się ze swym mężem i córką. Dopiero gdy dr Viret przyrzekł jej, że córka pojedzie z nią także, zgodziła się opuścić gniazdko rodzinne.

Pewnego pięknego wieczora październikowego ścisnął dr Viret po raz ostatni żonę i córkę i stał ze łzami w oku na brzegu, gdy „Prussia” żeglowała na pełne morze.

W dwa dni później, kiedy siedział samotny przy śniadaniu, spostrzegł w dzienniku porannym następujący telegram:

„Straszny wypadek na wybrzeżu portugalskim! Prussia rozbita! Przeszło 300 osób zginęło bez ratunku!”

Dr Viret zerwał się na równe nogi. Śniadania nie tknął nawet, chorzy czekali nadaremnie w przedpokoju. Dzień i noc jechał do Lizbony, spieszył bez wypoczynku ku skalistemu wybrzeżu, na którym miała Prussia wylądować.

Gdy okręt wjechał na rafy podwodne, znaczna część pasażerów była w swoich kabinach. Kapitan, zmylony mgłą i silnym prądem, sądził, że oddalony jest o 30 mil morskich od lądu. Gdy spostrzegł ostrzegające go światło, było już za późno. Wielu zginęło, nim zdołało wydostać się na pokład, a między garstką, która zdołała ocaleć, spotkał doktor

Viret jednego przyjaciela, który mu opowiedział o ostatnich chwilach ukochanej jego żony i córki. Był on dzielny i wytrwały pływakiem, dlatego nie ułakł się groźnych fal i szybko wskoczył do morza. Wtem spostrzegł tuż koło siebie żonę dra Vireta wraz z córką, którą matka kurczowo trzymała. Chcąc przynajmniej córkę ocalić, usiłował wyrwać ją z objęć matczynych, gdy nagle ogromny bałwan uniósł ich w przeciwną stronę. Dzielny pływak sam utracił przytomność. Wreszcie cudem na brzeg wyrzucony, uszedł niechybnie już śmierci.

Po upływie kilku dni udało się doktorowi Viret po uciążliwym poszukiwaniu odnaleźć zwłoki tak drogich mu osób; na skale morskiej zatrzymały się matka i córka. Cóż pozostało mu teraz? Na pobliskim cmentarzu pochował żonę i córkę, potem wrócił do Londynu zupełnie złamany na duszy.

Od tej chwili zaprzestał dr Viret zajmować się leczeniem chorych. Wyrzekł się światowego blasku, sprzedał swój dom w Londynie i po długiej wólczędze bez planu, osiadł wreszcie w Rooksfild, w małym domku, nazwanym „dworkiem wawrzynowym”. Dobudował sobie następnie jedno skrzydło, i poświęcił się wyłącznie nauce. Prawie wbrew jego woli zwiększył nowy tryb życia jego sławę, gdyż najrozmaitsze odkrycia dokonywane teraz przez niego, wzbogacały ogromnie wiedzę medyczną, a tak strata ukochanych osób stała się tylko nowym błogosławieństwem ludzkości.

Długo żył tak osamotniony, aż pewnego pięknego poranku, podczas odwiedzin na plebanii, spotkał między innymi osobami, których nie znał dotąd zupełnie, także pannę Askew, energiczną choć starszą już damę. Panna Askew należała do licznych towarzystw, między innymi pracowała bardzo energicznie na polu agitacji przeciw wiwisekcyi.

Skorzystawszy z przerwy w rozmowie, wyciągnęła panna Askew potężny zwój papieru z kieszeni, rozciągnęła go przed uczonym i bez niepotrzebnych jej zdaniem wstępów, poprosiła go, by zechciał się podpisać.

Pleban Daubney niemniej gorąco tej agitacji oddany, przysunął się bliżej nieco ze swym krzesłem.

— Dlaczego prosi mnie pani o podpis — spytał dr Viret, domyślając się czegoś złego.

— Zamierzamy wnieść petycję, aby położono raz wreszcie kres niepotrzebnemu dręczeniu bezbronnych zwierząt — odparła panna Askew. Spodziewam się, że nie odmówi nam pan swego podpisu.

Co się stało potem, można skreślić w paru słowach. Doktor Viret skoczył z przekleństwem na ustach i szybko uciekł z pokoju, nie żegnając się z nikim.

Wskutek tej sceny zerwał dr Viret wszelkie towarzyskie stosunki, a pleban Daubney, nazywał dom jego najzwyczajszym szlachciznem.

Dr Viret posługiwał się niejednokrotnie wiwisekcyą, lecz czynił to jedynie dla nauki, miał też specjalne pozwolenie, lecz z drugiej strony znowu był niezwykle miłośnikiem zwierząt. Konie jego daleko lepiej pielęgnowano niż sąsiadów, pies jego, czarny „Tygrys”, z góry świętego Bernarda, szedł za nim wszędzie, tylko nie do laboratorium, do którego wstęp był wszystkim jak najsurowiej zakazany.

Droga, wijąca się malowniczo, wiodła ku innym domkom wioskowym; stajnie stały osobno w podwórku. Laboratorium mieściło się w tyle domu mieszkalnego doktora, poznać go było łatwo po charakterystycznym zapachu chloroformu. Wielki stół operacyjny stał na środku sali, liczne dyplomy i odznaczenia wielu towarzystw uczonych zdobiły ściany, gołę zresztą. Od ściany do ściany biegły deski na wysokość rosnącego mężczyzny, na których stały klatki z królikami, szczurami i świnkami morskimi — jedne wyglądały zdrowo, inne były już martwe. Skrawki białego papieru, przyczepione do klatek, wskazywały przebieg eksperymentu. Pompy powietrzne, flaszki najrozmaitszej wielkości, szkiełka, mikroskopy pomysłu dra Viret, stanowiły urządzenie gmachu, w którym uczony właśnie tej samej środy, kiedy Bodger wstępował do służby u Fairforda, stał przy stole operacyjnym, trzymając skalpel jakiś w ręku, pochylony nad zdychającą świnką.

Gdy wyprostował się, poznać było można, że wielkością dorównywał Owenowi, choć był znacznie starszy od niego. Był nieco szczupły, o ruchach niezgrabnych, jak to jest zwykle u ludzi samotnych, stroniących od towarzystwa. Głowę miał prawie łysą, na samym czubku widniał jednak ma-

ły pęk włosów, podczas, gdy rude bokobrody zwiślały mu aż poza kołnierz. Nos miał niekształtny, warga górna znacznie wystawała. Czy była pogoda czy nie, nosił zawsze jedno i to samo zniszczone czarne ubranie, stale na wszystkie guziki zapięte. Przeciwnie nagłej zmianie powietrza zabezpieczał się zwykłe koszulą flanelową koloru szarego, a zwykłą kamizelką sięgała aż po samą szyję. Jeżeli wspomniemy jeszcze o jego obuwiu, zrobionem według jego rysunków, wcale nie pięknem, lecz za to możliwie wygodnem, o niezwykle szerokim kapeluszu, wciśniętym silnie na czoło i o zwykłym kiju dębowym, którym posługiwał się jak laską, mamy już plastyczny obraz dra Viret, znanego dobrze ze spacerów wieczornych po drodze wioskowej.

Co dwa lata jeździł do grobu żony i córki; miesiącami całymi chodził potem milczący i ponury i znać było po nim, że w sercu jego szalała dzika, bezsilna rozpacz.

Skoro dr Brown prosił go osobiście o zajęcie się chorobą pani Derwent, przystał z dwóch powodów: po pierwsze opis przebiegu choroby zainteresował go już ogromnie, po drugie chora była matką Flory.

Niejedną rzecz uderzała go niezwykle. Jej piękne rysy, te włosy złociste, umysł pogodny zawsze i wesoły, zdrowy humor tryskający z tych oczek niebieskich, przedewszystkiem zaś jeden i ten sam wiek, przypominał uczonemu w osobie panny Flory jego biedną, zmarłą jedynaczkę. Podobnie piękna jak Flora, byłaby stała teraz przy nim, tuląc się do niego, jak dawniej, gdyby nie straszne przeznaczenie, okropny dopust boski.

Codziennie uzmysławiał sobie w tajemnicy, jakby wyglądała teraz jego córka, jakby rozrastała się na pociechę ojca. Pannę Derwent, urodzoną w tym samym miesiącu, co jego Elza, przedstawiał sobie jako jej siostrę bliźnianą, w niej podziwiał piękność swej Elzy, patrząc na nią z zachwyceniem od lat najniższych, dziecięcych, aż do chwili, kiedy z obiecującego pączka zakwitła piękna róża.

Mimo to upływały lata, a on słowa do Flory nie mówił, choć sąsadowali tak blisko w Rooksfild, nie zdradził się najdrobniejszą słabością, że panna Derwent zajmuje wcale niepoślednie miejsce w jego sercu. Dopiero gdy wyżej wspomniane okoliczności zbliżyły go bezpośrednio do rodziny Derwentów, wyszły na jaw uczucia tak długo kryjące się na dnie jego duszy, zogniskowały się teraz, aby się stać celem jego złamanego życia.

Punkt 12 wchodził codziennie do pokoju pana Derwenta.

— Rozumie się, niema nowych wiadomości dotąd? — pytał zazwyczaj, ściskając serdecznie Florę za rękę.

— Niema! Czy zdołamy się kiedykolwiek dowiedzieć prawdy? Inspektor Holt radzi mi wytrwać, ale serce moje za bardzo rozpacza, abym mogła spodziewać się szczęśliwego wyniku tej tajemniczej i bolesnej tragedii.

— Byłoby to rzeczą bez pożytku — moje dziecko i niebezpieczną równocześnie. Każdy, ktokolwiek napawa serce bliźniego nadzieją nieprawdopodobną, błądzi najlepiej przyjąć najgorsze i śmiało spojrzeć w przyszłość.

— To okropne — panie doktorze — łkała biedna dziewczyna — znajduję się w tak przykrem i niepewnym usposobieniu, że z rozpacz gotowabym się zdźbła słomy uchwycić — nie mogę spodziewać się szczęśliwego końca, a z drugiej strony trudno mi wyrzec się nadziei. Cały wczorajszy dzień łamałam sobie głowę, bo chciałam znaleźć jakiś punkt oparcia, bo spodziewałam się, że znajdę raz wreszcie rozwiązanie tej strasznej zagadki.

— Tego powinna pani unikać! — Wiem, że spotkało panią nieszczęście jedno z najgorszych, jakie spaść mogą na nas — lecz czas jest najlepszym lekarzem, on smutek twój dziecię nko, wyzdrowi z tej okropnej rozpacz, w jakiej się targasz teraz — niema bólu tak wielkiego, żeby go czas nie mógł ukoić. Staraj się zapomnieć o wszystkim, z zapomnieniem widzisz opada nas bowiem pewnego rodzaju martwota. Wielki Boże! — zawołał z goryczą w głosie. — Ty wiesz najlepiej, ile ja znieść musiałem! Ty patrzyłaś na wszystko! Gdyby ma Elza żyła, byłaby w tym samym wieku, co pani; lecz jej przeznaczono umrzeć tak młodo, zdala od rodzinnego ogniska, na skalnem wybrzeżu. Lecz co do pani — panno Floro — to jestem prawie przekonany, że znajdziesz pani kogoś, który będzie umiał ukoić tę wielką rozpacz. Toż się życie uśmiecha dopiero do pani!

— Nie wiem, co mnie czeka w przyszłości,